

MAGAZYN OPINII

Pismo.

MARZEC 2020 | NR 3 (27)



MAGAZYN OPINII Pismo.

MARZEC 2020

OPOWIADANIE

Tik-tak | 6
DOMINIKA SŁOWIK

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w marcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 31
KAROL RADZISZEWSKI

POEZJA

Kościół Zbawiciela | 17
BALŠA BRKOVIĆ

Lepsza przyszłość | 51
ZWIAD RATIANI

Noc 0 | 89
ANTOINE CASSAR

OBRAZ

CYKL DOBRO WSPÓLNE **Sołtyśka** | 4
MARTA RYBICKA

FOTOREPORTAŻ **To (nie) jest kraj dla *streeta*** | 24
TYMON MARKOWSKI

KOMIKS **Czułe narracje** | 58
HENRYK

ŻARTY RYSUNKOWE **PaplaLAla** | 58
AGNIESZKA SZCZEPANIAK

OKŁADKA **Can't buy me love**
TOMASZ MAJEWSKI

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Smok**
MARCIN WICHA

96 | PRZYPISY **O kapitalizmie**
ZUZANNA KOWALCZYK

REPORTAŻ

10 | **Za murem**
MICHAŁ SZCZĘCH o Ukraińcach, których polscy pracodawcy traktują jak przedmioty

ROZMOWA

18 | **Świat na barkach**
KATARZYNA ZAJĄC-MALAROWSKA w rozmowie z BEATĄ SADOWSKĄ

PORTRET

32 | **Pytania z przyszłości**
JULIA LACHOWICZ o NERI OXMAN, wizjonerce, która łączy naturę z technologią

38 | **Skazani na Jeffa Bezosa**
FRANKLIN FOER prześwietla najbogatszego człowieka świata

ESEJ

52 | **Nowe rządy w raju?**
MAŁGORZATA SIDZ tłumaczy, skąd wzięła się nowa premierka Finlandii

66 | **Uchronić się przed przyszłością**
KAMIL FEJFER podpowiada, jak sobie radzić w czasach spadku koniunktury

74 | **Między cnotą a zyskiem**
JACEK GIEDROJĆ pyta, czy istnieje realna alternatywa dla neoliberalizmu

90 | **Źle mi się cipka wycięła**
WERONIKA MUREK z wizytą w londyńskim Muzeum Waginy

WOKÓŁ KSIĄŻEK

82 | **Wstydy polskie historyczne**
PAULINA MAŁOCHLEB sprawdza, jak współczesna literatura rozlicza się z polską historią

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Szefowa Działu Idei: Karolina Lewestam,
Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, Redakcja: Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka,
Felieton: Marcin Wicha, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Mateusz Roesler (wyd. cyfrowe),
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Anna Linowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.


MARCIN WICHA

(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Smok

Siedzą przy drzwiach. Babcia coś czyta. Chłopiec trzyma pudełko. Tutaj każdy trzyma pudełko. Niektóre pudełka chroboczą.

Czas się dłuży. Na parapecie leżą reklamy suplementów i ulotki o adopcji węży. Obok stare egzemplarze „Twojego Gada i Płaza”.

Dzieciak wpatruje się w kalendarz ścienny pt. *Króliki domowe*. (Styczeń – karzełek perski. Luty – karzełek teddy. Marzec – karzełek rex).

Wchodzi facet w średnim wieku i poczekalnia natychmiast się kurczy. Niby niewysoki, a ledwo się mieści. Dopiero wszedł, a już się nudzi. Już się kręci, zerka, pogaduje.

– Co tam masz? – pyta chłopca. Nie dostaje odpowiedzi, więc sam zagląda. W pudełku siedzi smok. Jest szary i nieruchomy.

– O, agama – mówi facet. – Ile ma?

– Dwa lata – odpowiada babcia.

– Mała jak na dwa lata. I ogon nie bardzo.

– To przez nerki. Syn kupił... – facet unosi brwi.

– Ty kupiłeś? – chłopiec nie odpowiada. Patrzy przed siebie.

(Kwiecień – królik marburski. Maj – podpalany).

– To nie syn, tylko wnuk – wyjaśnia babcia. Następuje seria komplementów i żartów.
– Ależ co pan, ależ co pan!

– U nich są teraz małe dzieci – opowiada. – Kawalerowi urodziło się rodzeństwo, więc agamę dali mnie. Ale choruje. Przez te nerki tylko by spała. I chyba straciła wzrok.

(Czerwiec – syjamski. Lipiec – satynowy).

– Nasza lata po całym domu – cieszy się facet. – A najbardziej lubi siedzieć na klawiaturze laptopa. Wie pani, dlaczego? Dlaczego agama najbardziej lubi siedzieć na klawiaturze? – powtarza powoli, jakby odczytywał pytanie w teleturnieju. Babcia nie wie, ale chętnie się dowie. Chłopiec nie odrywa wzroku od kalendarza.

(Sierpień – wielki jasnosrebrzysty).

– Bo tam jest najcieplej – wyjaśnia facet. – Komputer ją grzeje. Raz nawet narobiła na klawisze. Trudno. Najważniejsze, żeby sobie biegała. Agama musi biegać. Czym karmicie?

– Kupuję karaczany po piętnaście – wzdryga się babcia. – A potem im ukręcą te głowy. Ale ona i tak nic już nie je.

(Wrzesień – wiedeński biały).

– Najważniejsza rzecz: nigdy nie dawać na pęsecie. Ja nigdy nie daję. Agama musi polować. I nie kupować w Żakolandii. Ja zawsze biorę bezpośrednio od producenta. Mam zniżkę, bo znam właściciela. Pani chce, to zaraz do niego zadzwonię. Po co przepłacać?

(Październik – francuski baran).

– Nie odbiera, sekretarka się włącza – wzdycha facet. – Ale dam pani adres. To jest taki budynek przy torach, nie pamiętam ulicy, trochę zaniedbany, bez szyldu. Mnie tam już znają, to sobie wybieram. Biorę te tłuste. Tłuste i ruchliwe. Tylko żadnych drewnojadów! Drewnojady są ospałe, tak się ślimaczą. Agama musi biegać.

(Listopad – morawski olbrzym).

– Ogólnie, jakby pani miała jakieś pytania, proszę dzwonić. Dużo czytam w internecie, zawsze mogę coś poradzić. A jakby była potrzeba nowej agamy, to jeden kolega rozmnaża. Zostawię wizytówkę.

(Grudzień – olbrzym srokacz, olbrzym srokacz, olbrzym srokacz).

Chłopiec się nie odzywa. Trzyma pudełko z umierającym smokiem.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W MARCU:



Pierwsza edycja HER Docs Film Festival

8 marca obchodzimy Dzień Kobiet, ale to nie jedyna okazja do celebrowania kobiecej siły. 8 marca to też półmetek pierwszej edycji wyjątkowego – bo pierwszego i do tej pory jedynego w Polsce – festiwalu, na którym zostaną zaprezentowane filmy dokumentalne wyłącznie kobiecego autorstwa. Warszawska Kinoteka na kilka dni zmieni się w przestrzeń do dyskusji o równouprawnieniu, prawach człowieka, seksualności i stereotypowym postrzeganiu ról społecznych. W programie, obok warsztatów, wydarzeń muzycznych i pokazów specjalnych, znalazło się ponad pięćdziesiąt dokumentów, które zostaną pokazane w Polsce po raz pierwszy lub są niedostępne w regularnej dystrybucji.

WIĘCEJ: herdocs.pl

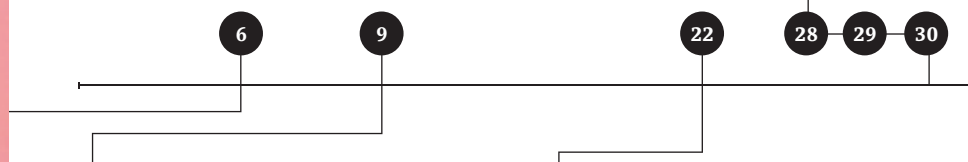


Trasa koncertowa „Cohen i Kobiety”

Kobiecą siłą na scenach w Szczecinie, Zabrzu i Warszawie zaprezentują artystki interpretujące utwory jednego z najbardziej cenionych kanadyjskich piosenkarzy i poetów, Leonarda Cohena. Koncerty odbędą się w ramach powrotu trasy „Cohen i Kobiety”, która wystartowała jesienią 2018 roku i do dziś wyprzedaje sale koncertowe w całej Polsce. Muzykę Cohena wykonają Anita Lipnicka, Natalia Kukułska, Daria Zawiałow, Grażyna Łobaszewska, Julia Pietrucha, Barbara Wrońska, Matylda Damięcka i Paulina Przybyśz.

WIĘCEJ: cohenikobiety.pl

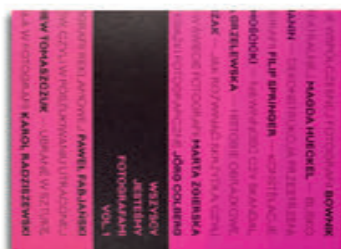
Marzec 2020



Wszyscy (nie) jesteśmy fotografami

Wykonanie zdjęcia 181 lat temu było procesem trudnym, żmudnym i czasochłonnym. Czas można podawać w różnych jednostkach miary. Współczesną mogłaby być liczba zdjęć zamieszczonych w mediach społecznościowych. Czy w dobre selfie i śmieciowej fotografii o robieniu zdjęć można powiedzieć jeszcze coś nowego? Okazją do rozwiania wątpliwości będzie spotkanie promujące książkę *Wszyscy Jesteśmy Fotografami*. Z Bownikiem, Filipem Springerem i autorkami cyklu o takim właśnie tytule – Katarzyną Sagatowską i Moniką Szewczyk-Wittek rozmawiać będzie Juliusz Cwieluch z tygodnika „Pisma” (i gościnnie autor „Pisma”).

WIĘCEJ: bigbookcafe.pl



Pussy Riot: Riot Days (41. Przegląd Piosenki Aktorskiej)

W ramach 41. Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu wystąpi rosyjska grupa feministyczna Pussy Riot. Jak zwykle w przypadku tego ekscentrycznego kolektywu, nie wiadomo, czego doświadczymy – czy obrazoburczego performance'u czy punkowego koncertu. Jedyne, czego możemy być pewni, to że będzie prowokacyjnie, wywrotowo i antytotalitarnie, występ odbędzie się bowiem pod hasłem: „Każdy może rozrabiać”. Pussy Riot będą rozrabiały w Piekarni – Centrum Sztuk Performatywnych we Wrocławiu.

WIĘCEJ: ppa.wroclaw.pl



BONNO



DOBRO WSPÓLNE

Sołtyska

zdjęcie i tekst MARTA RYBICKA

„Aby sąsiad poznał sąsiada” – to motto działań niezwykle aktywnej sołtyski Bończy, Małgorzaty Dąbrowskiej (nagrodzonej tytułem Sołtysa Roku 2016). Bończa, jedna z najstarszych wsi Mazowsza, ma stu trzydziestu mieszkańców, półtora kilometra asfaltu, przydrożny krzyż, sklep i jednego konia. Co można zrobić z takim potencjałem? Wszystko. Stowarzyszenie Made in Bończa stara się aktywizować i integrować mieszkańców oraz kultywować swoją sadowniczą tradycję. Stąd wieś słynie ze Szkółki Owocowej, Klubu Seniora – SPA Bończa oraz BończaFest. Lokalna świetlica to centrum kultury, w którym organizuje się liczne konkursy i warsztaty, działa tu też wiejska biblioteka. Tego dnia odbyła się pierwsza „Wiejska Wymienialnia”.

Cykl we współpracy z kampanią „Organizacje społeczne. To działa”
www.todziala.org





OPOWIADANIE

Tik-tak

tekst DOMINIKA SŁOWIK

Przyszała z lasu. Zresztą tylko stamtąd można było do nas przyjść. Kiedy zniknęła – dużo wcześniej – nie zdziwiliśmy się. To się zdarzało już innym. Ale ona wróciła. To – przynajmniej wtedy – nie udało się jeszcze nikomu.

Była starsza. We włosach – gdy szła przez wieś – błyszczały pojedyncze, pozbawione barwy nitki – niemal przezroczyste, pochłaniające światło, stwardniałe, obrócone w szwiznę pasma.

Miała na sobie te same ubrania, nieco podniszczone, ale mniej, niż można by się spodziewać. Była trochę bledsza i szczuplejsza.

A jednak to nie to, co się w niej zmieniło, tak nas zaniepokoiło.

– Ona jest taka sama.

Nie wiadomo, kto pierwszy wymówił te słowa – ale z pewnością już wtedy zostały wypowiedziane nie z potrzeby zrozumienia, lecz ze strachu.

– Taka sama jak kto?

– Taka sama, jak była.

A przecież wyglądała inaczej, mieliśmy wrażenie, że naprawdę sporo czasu minęło...! I co gorsza, czuliśmy się tak po raz pierwszy od dawna.

Kiedy weszła do Lipowca – główną drogą, mijając zardzewiałą tabliczkę z niemożliwymi do odczytania znakami – ucieśliśmy się. Ktoś poszedł zawiadomić jej rodziców i pamiętam, że ojciec biegł pierwszy, przed matką, z szeroko otwartymi ramionami, jakby udawał ptaka.

Szła w ich stronę miarowym, spokojnym krokiem, z uśmiechem na twarzy, a kiedy ojciec ją objął, lekko się zachwiała, i nie wyglądało to jak powitanie, nie objęcie, tylko zderzenie, jakby coś stanęło jej nagle na drodze.

Matka gładziła ją po uśmiechniętej twarzy.

Nikt oczywiście o nic nie zapytał: „Gdzie byłaś?” – samo pytanie wydawało się przecież bez sensu. No bo gdzie mogła być? Nigdzie.

Jeśli nie była tu, z nami, w Lipowcu-Kolonii, to nie była nigdzie.

Wróciła, to wróciła. I dobrze.

Zabrali ją do domu, a potem ojciec kilka razy wychodził przed płot, prosił nas szepcąc, żebyśmy się uciszeli, „bo poszła spać”. – Padła jak kamień, żona siedzi i sprawdza tylko, czy oddycha.

Nie zrozumieliśmy tego od razu. Zanim zniknęła, lubiliśmy ją. Niektórzy nawet potem za nią tęsknili. Jej rodzina długo ją opłakiwała – dłużej nawet, niż wypadało, mówiliśmy, bo przecież i wcześniej ludzie ginęli, opuszczali Lipowiec na zawsze i trzeba się z tym było jakoś pogodzić. A oni zachowywali się tak, jakby właśnie im się to przydarzyło po raz pierwszy.

Była całkiem zwykła. Taka, że kiedy pamięta się o wszystkich, pamięta się i o niej, ale kiedy się zapomina, to ją zapomina się najpierw.

Może dlatego ją lubiano.

Pierwszego dnia matka ją umyła – w balii, polewając wodą z błękitnego dzbanka. Kolaria sterczała jej pod brodę i oglądane z góry przypominały niebieskawe plamy na dziwnej spokojnej powierzchni. Po kąpieli woda była tak przejrzysta, jakby świeżo zaczerpnięta z tej lepszej z naszych dwóch studni.

— NA POCZĄTKU SIEDZIAŁA sporo w domu, wydawało się, że chce na nowo nacieszyć się zamknięciem, ciasnotą: przestrzenią, która kończy się po paru krokach. Ścianami, na których naprawdę można zogniskować wzrok i spojrzenie nie ucieka nigdzie dalej, nie gubi się, tylko zostaje w miejscu, z nami (wszyscy chodziliśmy do lasu, więc każdy to rozumiał; wieczorem, po powrocie, zamknąć się wreszcie w izbie, to jak zanurzyć się pod grubą kołdrą w zimną pogodę).

Pierwsza z ich domu uciekła matka. Mówiła, że się wyprowadziła, bo we trójkę im ciasno, nieprzyzwyczajeni czy raczej – przez tyle lat odzwyczajeni, a córka to już w ogóle... Ale zrobiła to nad ranem, właściwie jeszcze w nocy, jakby nie chciała – albo nie potrafiła – doczekać we własnym domu świtu.

Ojciec wytrzymał dłużej. Chociaż może tylko tak nam się wydawało, bo po jakimś czasie zauważyliśmy, że sypia w ogrodzie, skulony na drewnianej ławeczce ustawionej

za domem. – Lepiej mi się śpi na świeżym powietrzu – twierdził, ale kiedy to mówił, spuszczał oczy.

Odkładał się w nas spokój podobny do męczącej, uporczywej ciszy.

Codziennie wyczekiwaliśmy zmiany pogody, bo inaczej nie potrafiliśmy sobie wyjaśnić tego uczucia. Pogoda była jednak w tamtych dniach słoneczna i łagodna. Jak nigdy.

Przed snem męczyło nas najmocniej, pewnie dlatego zasypialiśmy coraz później, często nawet po zmroku włóczyliśmy się po wsi, żeby sprawdzić, czy wszystko dobrze pochowane, pozabezpieczone, niby to na wszelki wypadek, gdyby jednak przyszło załamanie pogody, ale obraz rozrywającego Lipowiec huraganu przynosił nam jakąś ulgę: przerywał na chwilę ciszę.

Któregoś wieczora na ławeczce za ich domem zobaczyliśmy kokon.

Spowitą w biały całun ludzką postać powoli tracącą swoją formę.

Co ona mu zrobiła?

Chcieliśmy podbiec do tego martwego już kształtu, ale wtedy zadygotał, zadrgał, poruszył się, runął na trawę, zaczął pełznąć w naszą stronę, wielka larwa wykluta ze starego ciała, srebrzysty śluz ciągnął się za nim jak spieniona koronka...

Ruszyliśmy biegiem przed siebie, byle dalej od ich domu, zanim pojełiśmy, że to jej ojciec owinął się po prostu gęstą firanką, bo owady – które jakiś czas temu znowu wróciły, chociaż za życia naszych dziadków prawie wcale ich nie było – żarły go do krwi i bez tego nie mógłby nawet na chwilę zasnąć, a w domu, chociaż tego nie mówił, nie chciał już spać.

– Ona chrapie – wyznał wreszcie i powiedział to w taki sposób, że od razu mu uwierzyliśmy. – Chrapie! Cicho, ale do kości.

Z okien jaśniało, bo światło księżycy odbijało się od niedawno bielonych ścian. Łóżko było puste, przykryte narzutą.

Oczywiście chcieliśmy to jej chrapanie usłyszeć!

Na początku myśleliśmy, że nie ma jej w izbie i znów zdjął nas strach. No bo gdzie miałaby być? Nocą się spało, i nawet jeśli my sami nie spaliśmy, to byliśmy tu razem, a razem jest inaczej. Ona była przecież sama.

Dopiero po chwili dostrzeżliśmy ją w kącie pokoju. Siedziała na niskim zydlu, bokiem do nas. Ugięte nogi sterczały wysoko, kolana celowały w powałę, jak wtedy w kąpielni, kiedy myła ją matka, a napięta skóra rzeczywiście sprawiała wrażenie błękitnawej na tle spokojnej powierzchni przypominających stojącą wodę ścian.

Miała spuszczoną głowę. Wydało nam się, że coś trzyma w wyciągniętej dłoni, wpatruje się w to w napięciu. Coś chyba zaiskrzyło na jej ręce, błyszczący krążek, jak zajączek wypuszczony z pilnie strzeżonych przez nas kawałków dawnych lusterek.

Inni mówili później, że spała, ale kto śpi w takiej pozycji? Chociaż niektórzy, bardzo zmęczeni, czasem chyba tak śpią...? Tyle jej tu z nami nie było...! – Mogła się przecież poczuć zmęczona?

Może od początku właśnie o to chodziło: tak, była po prostu bardzo zmęczona.

– Chrapie?

Wyteńczyliśmy słuch. Wydało nam się, że jak przed laty, nawet owady nie burzą teraz martwej nocnej ciszy. Poczuliśmy się nieswojo. Ktoś podrapał się nerwowo, bo uczucie przenikało nas niemalże jak ledwo słyszalny dźwięk. Dobiegający z izby? Rytmiczny, cichutki dźwięk, budzący w nas znów ten niepokój, którego – byliśmy pewni – wcale nie chcieliśmy czuć. Okropny rytm przeszywający nasze ciała; jak wtedy, kiedy ziemia wibruje od piłowania drewna – człowiek tego nie lubi, bo to jakby i jego coś piłowało.

– Chyba faktycznie chrapie.

No bo jak można to było inaczej nazwać?

Niedługo potem zaczęła wychodzić z domu. Przychodziła do nas, ot tak, po prostu. Jak gdyby nigdy nic.

Popołudniami, wieczorami, kiedy zbieraliśmy się przy wspólnej pracy. Za pierwszym razem weszła w tłumie, razem ze wszystkimi, usiadła z pochyloną głową nad przebieganiem ziarna i na początku w ogóle jej nie zauważyliśmy, wyglądała przecież tak jak my i ruchy miała wciąż tak podobne do naszych – w końcu nic się od jej zniknięcia nie zmieniło, robiliśmy od dawna to samo, a ona dobrze znała naszą pracę.

Nie patrzyliśmy po sobie nawzajem, za bardzo skupieni na własnych dłoniach.

Jednak po chwili coś zaczęło się dziać.



Ktoś poruszył się niepewnie, ktoś się rozglądał na boki, ktoś inny znów nerwowo się podrapał.

A potem już wszyscy wierciliśmy się na zydelkach, na taboretach, jakby nagle było nam bardzo niewygodnie, nikt nic nie mówił, szum ziaren ustał, a w ciszy znów usłyszeliśmy – czy raczej poczuliśmy – ten dźwięk.

Dobiegał od niej, ale ona wcale nie spała, miała zamknięte usta, uśmiechnięte, owszem, ale mocno zaciśnięte, i był to ten sam uśmiech, który widzieliśmy, kiedy weszła do wsi.

Czy to na pewno uśmiech?

Wszyscy patrzyli już tylko na nią, ona tego jeszcze nie zauważyła, a jej ruchy – dopiero teraz to spostrzeżliśmy – były zupełnie inne niż nasze. Spokojne i miarowe. Rytmiczne. Jakby odcinane szybkimi pociągnięciami ostrza od przestrzeni, dokładnie takie, jak ten ledwo słyszalny, znany już nam dźwięk, tik-tak, tik-tak, który dobiegał od niej, niemal wprost z jej brzucha.

I przez to, że ona taka była, wszystko wokół było teraz także inne, jakbyśmy patrzyli na taki świat, jakim nie widzieliśmy go od bardzo dawna. Okropne uczucie. Byliśmy czemuś winni, ale zupełnie nie rozumieliśmy czemu, nagle uwięzieni pomiędzy żalem a strachem. Czuliśmy jakąś dojmującą, przeszywającą nas stratę, stratę, o której kiedyś pamiętaliśmy i która teraz znów nam się przypominała.

Czy to ona nam coś zabrała?

Chyba właśnie wtedy zaczęło nam się więcej przypominać. Przede wszystkim: jak to z nią było naprawdę.

Szło nam ciężko, nie przywykliśmy do takich rzeczy. Jakoś od dawna nie musieliśmy nie tyle niczego zapamiętać, ile o czymkolwiek sobie przypomnieć.

No bo już kiedy przepadła, wszystko toczyło się inaczej. Nie tak. Zwykle ludzie szli na polowanie, po grzyby, po opał, i wtedy bładzili albo słabli w lesie. Szli po coś. Najczęściej dlatego, że musieli, nie dlatego, że chcieli (choć, uczciwie trzeba przyznać, czasem zdarzali się i tacy).

Ona wyszła z domu, zdawałoby się, zupełnie po nic.

Nagle, jak stała, ruszyła przed siebie, zostawiła w połowie rozgrzebaną robotę, a u nas nikt tak nigdy nie robił! W Lipowcu jak już się coś zaczynało, to zawsze się kończyło.

Zresztą to nam wychodziło najlepiej, jedyną, co potrafiliśmy robić porządnie i z oddaniem, to kończyć to, co dawno rozpoczęte.

Potem wystarczyło, że widzieliśmy z daleka, przez chwilę, jak idzie, w jaki sposób stawia stopy, jak macha rękami, by natychmiast wypełniło nas to samo nieprzyjemne uczucie, i świat wokół nas nagle biegł w tym samym co ona rytmie.

Gdy tylko pojawiała się w pobliżu, zawsze grzeczna, cicha, uśmiechnięta, czuliśmy się jeszcze bardziej nieswojo. Nie dawaliśmy tego po sobie poznać, mimo wszystko nie chcieliśmy jej robić przykrości, ale było nam z nią ciężko, bo wciąż kazała nam się zastanawiać nad rzeczami, o których nikt z nas nie miał ochoty myśleć.

Kiedy więc zauważaliśmy, że nadchodzi, szybko skręcaliśmy do najbliższego domu, chowaliśmy się za płotami, przykucaliśmy w krzakach, byle tylko nie musieć z nią rozmawiać.

Gdzie była, skąd przyszła, dlaczego wróciła – nie, to wciąż nas nie interesowało. Czy raczej: doskonale wiedzieliśmy – była w lesie i przyszła z lasu. Wróciła, bo mogła. Wróciła, bo zdołała.

Męczyło nas coś innego. Niepokój, znajomy, a przez to jeszcze boleśniejszy. Jakbyśmy wreszcie wyszli na brzeg wprost z dawno stojącej wody.

Czy w ogóle mogliśmy być pewni, ile jej z nami nie było?

Nie liczyliśmy lat, odkąd ustały pory roku (i nie stało się to za naszego życia).

Przestaliśmy liczyć miesiące, tygodnie, dni... liczyliśmy tylko to, co od rana do nocy i od nocy do rana.

Może więc po prostu nie było jej tylko przez chwilę i stąd teraz to nieprzyjemne uczucie, że nagle nic się nie zgadza?

—
coś PODOBNO przyniosła ze sobą...!

To było wreszcie jakieś sensowne wytłumaczenie. Wyjaśnienie, na które mogliśmy się wspólnie zgodzić.

Chociaż w dniu, kiedy wróciła – a przyszła, gdy wylegliśmy do ogrodów po posiłku, odpocząć przed wieczorną pracą, więc widzieliśmy ją wyraźnie na jasnej drodze, biegnącej pomiędzy domami niczym świeżo rozwarła szczelina – nie niosła niczego, nie miała żadnego tobołka, bagażu, zawniątkta.

Po prostu bardzo mocno zaciskała dłoń, aż z daleka białały jej pięści. Dwie jasne tarcze podzielone równomiernymi cięciami białych palców.

Co najdziwniejsze, ona sama jakby w ogóle tego wszystkiego nie zauważała.

Nie zwracała uwagi na naszą niechęć albo po prostu wcale jej nie obchodziła. Łaziła przez wieś jak wcześniej i chociaż na początku próbowała jeszcze z nami rozmawiać, szybko dała sobie spokój.

Nosiła teraz wodę.

Po co jej ta woda? Tak dużo się kąpie? Nikt się przecież tak często nie myje, po co codziennie? I niesie ją przez cały Lipowiec, przez Kolonię, żebyśmy wszyscy widzieli, chodzi w tę i z powrotem po kilka razy, jakby chciała wypełnić nie jedną miednicę, ale całą izbę. Na dodatek bierze z tej lepszej studni.

Z pitnej studni.

A co, jeśli nam tej wody przez nią zabraknie?

Wkrótce okazało się, że jest jeszcze gorzej: podobno zanim napełni cebrzyk, przechyla się do połowy ciała za ocembrowanie, jak przez okno, i gapi się w dół, jakby nie tyle sądziła, że coś tam może zobaczyć, ile naprawdę coś już zobaczyła.

Niosła później tę wodę zawsze w tym samym naczyniu, jej twarz odbijała się w niej w słońcu i wyglądało to tak, jakby niosła srebrną tacę, na której składa własną głowę.

I znów okrągła, błyszcząca tarcza, którą światło cięło blaskiem, i z jakiegoś powodu przypominały nam się wtedy gołe, niebieskie kolana. Może dlatego nikt nie zwrócił uwagi na coś, co przypomnieliśmy sobie dopiero po wszystkim: że chociaż szła szybko, to woda była spokojna, zupełnie nieruchoma. Powinna przecież obijać się o cebrzyk, przelewać przez krawędź, chlapać, moczyć ścieżkę – zostawiać w piasku mokry, czarny ślad.

Było nam niedobrze.

Czuliśmy się coraz gorzej.

Jakby to falowanie – którego nie było w cebrzyku – działało się w nas. Jakby to w nas wzbierała ta noszona przez nią wytrwale, niby to do kąpeli, woda, która w końcu przeleje się i rozprysnie.

Dalej opowiadaliśmy, że to przez pogodę, bo w Lipowcu wciąż jeszcze panował stary zwyczaj, że w trudnych chwilach należy raczej mówić tak, jakby się wcale nie mówiło.

Niektórych zaczęły nawet boleć brzuchy.

Twierdzili, że budzą się rano z uczuciem, jakby coś ich ciągnęło od żołądka w dół, do ziemi; jakby ktoś zawiesił im tam kamienie, wór kamieni, i potem, gdziekolwiek szli, wlekli ten wór za sobą.

Jednak dopiero kiedy pochorowało się dziecko – a dzieci było u nas zawsze bardzo mało – wiedzieliśmy.

Pod wieczór poszliśmy do niej. Siedziała w domu sama. Uśmiechała się. Wyglądała, jakby na coś czekała, ale chyba nie

na nas, bo była zaskoczona naszym widokiem.

Myśleliśmy, że pójdzie łatwiej, jednak ona wcale nie chciała odejść. Udawała, że nie rozumie.

– Jak to mnie nie chcecie? Jestem stąd i mam takie same prawa jak wy – krzyczała.

Drapała i gryzła, kiedy ją wiązaliśmy sznurem. Potem, zawiniętą jak tłumok, w firankę, która leżała porzucona przez jej ojca w ogrodzie, wzięła ją na ręce kilka osób. Nie patrzyliśmy, w którą stronę z nią odchodzą.

Owszem, baliśmy się, że jeśli wyniosą ją zbyt blisko, niewystarczająco zakręca jej w głowie, ona znów wróci, może nie od razu, może znów minie dużo czasu, może nie wszyscy tego doczekamy, ale przecież właśnie to czekanie będzie najgorsze...! Przyjdzie tym swoim rytmicznym, miarowym krokiem, machając do taktu ramionami jak wahadłem. Drugiego jej powrotu lipowiczanie by nie znieśli.

Dużo później wydało nam się, że słyszymy wrzask. Słumiony, ale wyraźny.

Tamci wrócili dopiero nad ranem. Jedna z kobiet miała wielki siniak na policzku. O nic ich nie pytaliśmy.

Potem, gdy szliśmy przez wieś, wszyscy udawali, że nie widzą świeżych desek na naszej lepszej, pitnej studni, przykrytych teraz dla pewności przytuszczonym skądś wielkim kamieniem.

Wkrótce w Lipowcu znów wszystko było jak dawniej – i tylko dziecko nie wyzdrowiało.

—
DOPIERO ZNACZNIE PÓZNIJ opowiadało, że jeśli, najlepiej nad ranem, zbliżyć do desek ucho, przycisnąć do nich głowę, zamknąć oczy i długo się wsłuchiwać, to ze środka, z ciszy, ze stojącej wody, słychać bardzo wyraźnie miarowe tykanie.



REPORTAŻ

Za murem

tekst MICHAŁ SZCZĘCH

TRACĄ GODNOŚĆ, ZDROWIE, A NAWET ŻYCIE.

Zatrudnionym w Polsce Ukraińcom nie pomogą najlepsze przepisy, jeśli nie zmieni się postawa polityków i mentalność pracodawców.



Trzynastego czerwca zeszłego roku leśniczy znalazł ciało ubrane w roboczy kombinezon. Brudne od trocin i pyłu, leżało w lesie w powiecie wągrowieckim, sto dwadzieścia kilometrów od Nowego Tomysła. Nie było przy nim dokumentów ani telefonu. Leśniczy powiadomił policję.

Śledczy ustalili, że to ciało Wasyla Czorneja, trzydziestosześcioletniego Ukraińca, który zasnął w trakcie pracy w zakładzie stolarskim produkującym trumny. Jako przyczynę śmierci wskazali niewydolność oddechowo-kръżeniową. – Nie byli w stanie ocenić, czy na jego śmierć mogły mieć wpływ warunki panujące w zakładzie. Było upalne lato, więc ciało znalezione już w stanie rozkładu – tłumaczy Michał Smętkowski, do niedawna rzecznik a obecnie szef Prokuratury Okręgowej w Poznaniu.

Późniejsze kontrole wykazały, że w hali było gorąco. Śmierdziało farbą i olejami. Brakowało klimatyzacji. Wszystko pokrywał pył drzewny. Zły stan maszyn zagrażał życiu pracowników.

Nie wiadomo, czy Wasyl przeżyłby, gdyby Grażyna F., szefowa zakładu, wezwała pomoc, ale ona nawet nie spróbowała tego zrobić. Pozostałym Ukraińcom, bo tylko oni byli na zmianie, zabroniła dzwonić po pogotowie. Gdy jeden z nich, Siergiej, rozpoczął reanimację, Wasyl nie dawał już oznak życia.

Grażyna F. kazała pracownikom opuścić halę. Wszyscy posłusznie wyszli, a ona zamknęła zakład i pojechała pociągiem do Poznania po samochód. Gdy wróciła, pod groźbą niewypłacenia pensji nakazała Siergiejowi załadować ciało kolegi do bagażnika. Tak zeznał prokuratorowi. Powiedział też, że zrobił to ze strachu przed deportacją, bo jak pozostali Ukraińcy pracował na czarno.

WYDARZYŁO SIĘ to w Jastrzębsku Starym, we wsi pod Nowym Tomysłem. Są tam dwa sklepy, szkoła podstawowa, biblioteka, kościół, remiza i stacja PKP. Dom stoi przy domu. Jest mur. A za murem produkują trumny.

– Tu są jakby dwa światy, u nas i tam, za murem – mieszkańcy wskazują na bramę otwieraną pilotem, za którą jest plac. Obok hali z trumnami stoją kolejne. W nich też działają zakłady. Pracują Polacy i Ukraińcy.

Pytani o tragedię odpowiadają: – Nie wiem. Nie widziałem.

Mieszkańcy: – Nas uczono szacunku w szkole i w kościele, dlatego taka tragedia z udziałem kogoś miejscowego byłaby po prostu niemożliwa. To zrobiła kobieta obca, która przyjeżdżała z Poznania. Nikt jej tu nie znał.

W Powiatowym Urzędzie Pracy w Nowym Tomysłu nie ma śladu po Grażynie F. Urzędniczki po tragedii przejrzały dokumenty. – Tej kobiety nigdy u nas nie było.

Nie słyszano też o niej w powiatowej komendzie policji, w prokuraturze ani w radzie gminy Nowy Tomysł.

– W urzędzie chcieli kiedyś, żebym się dowiedział, co to są za firmy za murem – opowiada sołtys Henryk Krzeszowski. – „No jak? To wy nie wiecie?” – zdziwiłem się. Byłem wtedy świeżo wybranym sołtysiem i nie miałem pojęcia, w jaki sposób miałbym się dowiadywać. I nikt tam wtedy nie poszedł, bo jak dziś, tak i wtedy wszystko tam było pozamykane.

– Nie wpływały do nas żadne skargi – mówi Jacek Strzyżewski z Okręgowego Inspektoratu Pracy w Poznaniu. Przed tragedią nikt z tego urzędu nie przeprowadzał w tym zakładzie kontroli. Rocznie z całego województwa spływa do inspekcji około pięć tysięcy skarg. Strzyżewski: – Najczęściej dotyczą wynagrodzeń. Rzadko się zdarza, by pracownicy narzekali na warunki pracy, zwłaszcza gdy finansowo wszystko jest w porządku.

Sygnatów i pretekstów, by zajrzeć za mur, sołtys Krzeszowski przypomina sobie z ostatnich lat kilka: – Jak szedłem na stację PKP, to słyszałem nieraz, że piła tam chodzi. Zajrzałem raz, bo brama była otwarta. Na placu leżała hałda trocin. Zwołaliśmy zebranie. Powiedziałem, że coś trzeba z tym zrobić, bo wybuchnie pożar i spali się pół wioski. Przyjechał komendant Ochotniczej Straży Pożarnej. Tłumaczył, że kiedyś mogli wchodzić na teren zakładów, żeby sprawdzać warunki przeciwpożarowe, a teraz już im nie wolno. I nikt tam wtedy nie poszedł. Była też sprawa odpływu wody. Przez teren zakładu biegnie rów, a w nim rury. I oni te rury ciężkim sprzętem pozarywali. Woda nie odchodziła, zalewała podwórka. I nie było sposobu, żeby tam się dostać i tę sprawę załatwić.

Ochotnicza Straż Pożarna nie kontroluje tego typu zakładów, może to jednak robić Państwowa Straż Pożarna, jeśli zgłoszenie nie jest anonimowe. Nikt z Jastrzębska Starego nie zgłosił tej sprawy do PSP: ani mieszkańcy, ani sołtys, ani władze gminy.

– Nie mamy kompetencji, by ingerować w działalność prywatnych zakładów – ucina Adrianna Zielińska, wiceburmistrzynie Nowego Tomysłu. I odsyła do uchwały o samorządzie gminnym.



Kontrolę, którą inspekcja pracy wszczęła w przedsiębiorstwie po tragedii, utrudniały liczne niejasności. – Oskarżona nie była formalnie zatrudniona w tym zakładzie – tłumaczy Strzyżewski. – Kto inny był pracodawcą zmarłego, kto inny właścicielem maszyn, przy których ten mężczyzna pracował, kto inny właścicielem terenu, a kto inny jego dzierżawcą.

Dziś sołtys Krzeszowski twierdzi, że „niekiedy miejsce upomina się o naszą uwagę, o reakcję. Jeśli tego zabraknie, zło ma szansę się zadziać”. To chciał powiedzieć mieszkańcom Jastrzębska Starego w sierpniu, na zebraniu przed dożynkami. Nie powiedział, bo przybyło tylko pięć osób. Po tragedii poszedł do ludzi. „Ja nic nie wiem” – odpowiadali. I zamykali drzwi. A dziś tak mówią przez płoty:

– Ludzie zza muru nigdy do nas nie wyszli. Nikt nie przyszedł do sklepu, do biblioteki, do kościoła. Tylko z pociągu i do pociągu. To skąd mieliśmy wiedzieć?

– Kiedyś było inaczej – twierdzą ci, którzy przyjechali ze wschodu w 1945 roku. – Można było umówić się na świniobicie albo przysiąść razem na ławce. Sąsiad przygrywał na akordeonie i szło się tańczyć u nie-

go na podwórku. I wszyscy byliśmy razem. A teraz każdy ucieka do siebie i nos w telewizor.

– W telewizji można usłyszeć, że w mieście, w bloku, umarł człowiek i jego ciało leżało przeszło tydzień, bo nikt z sąsiadów się nie zainteresował.

– U nas zaczyna być jak w bloku.

—
KRYSZYNA PATRZAŁA ma osiemdziesiąt dwa lata. W telewizji usłyszała, że Wasyl zostawił żonę, dzieci, matkę i ojca. – Trzeba przeżyć taką tragedię, żeby zrozumieć ból – płacze. – To jakby przeciąć rękę i nasypać soli.

W 1995 roku pochowała jedynego syna. Miał dwadzieścia siedem lat.

– W bramie rznąli deski. Jedna była pęknięta, odskoczyła i przebiła Zbyszkowi twarz. Później się dowiedziałam, że ta maszyna zabiła już czterech ludzi i taką ją kupili do zakładu. I nikt nie alarmował. Trzeba było śmierci mojego syna, żeby tę maszynę wycofać. Pojechałam wtedy za mur. A oni jak gdyby nigdy nic, jakby to się nie stało. Kierownik zakładu podał mi rękę. Powiedział: „Pani Patrzałowa, niech pani nie płacze, ja do pani przyjadę”. Myśli pan, że u mnie był? Po wszystkim nikt nie przeprosił. I nikt nie wskazał winnych, wszyscy umywali ręce.

„Że ta Patrzałowa tyle przetrzymała!” – mówili ludzie. Już nie mówią. Nie pamiętają. A teraz zginął Wasyl, w tym samym miejscu co Zbyszek.

– Jak to możliwe, że o niczym nie wiedzieliśmy? – dziwi się sołtys Krzeszowski. – 12 czerwca to się stało, a osiem dni później przyjechała dziennikarka i nam powiedziała. Wcześniej żaden z pracowników nie przybiegł do nas po pomoc. Polacy, których przy tym nie było, następnego dnia poszli do tego zakładu do pracy. Musieli się dowiedzieć. I siedzieli cicho. Jak to możliwe? Co ta tragedia o nas mówi?

Kilka dni po usłyszeniu o śmierci Wasyla Czarnej sołtys zadzwonił pod numer telefonu, który widniał na bramie. Głos w słuchawce powiedział: „Wszystko jest OK. Może pan sobie wejść i zobaczyć. Ale ja się z panem nie spotkam, bo teraz jestem na wczasach”.

Sołtys: – Chciałem wejść, ale brama nadal była zamknięta.

o TRAGEDII z Jastrzębska Starego informowały gazety, radio, telewizja. Ludzie z całej Polski zebrali pół miliona złotych dla rodziny Wasyla. Jego śmierć nie wywołała jednak ogólnopolskiej debaty na temat praw pracowników czy polityki migracyjnej rządu.

Nie rozpętała jej także naświetlona między innymi przez „Gazetę Wyborczą” i TVN sprawa Oksany Charczenko, Ukrainki, która w 2018 roku dostała wylewu na terenie zakładu zajmującego się dystrybucją warzyw i owoców. Była tam zatrudniona nielegalnie. Zamiast wezwać karetkę, pracodawca wywiózł kobietę do pobliskiej Środy Wielkopolskiej i tam zostawił. Następnie zadzwonił pod numer alarmowy i – podając się za przypadkowego przechodnia – powiedział, że na ławce leży pijana kobieta. Trafiła do szpitala z krwotokiem do pnia mózgu.

Podobnych historii jest więcej.

Dmytro Shutak, dziesięcioletni chłopiec zatrudniony na czarno w firmie produkującej pojemniki do owoców, stracił rękę przez maszynę, w której zaciął się papier. Opowiadał później, że to szef zakazał ją wyłączyć w takiej sytuacji, by nie tracić czasu. Dmytro włożył rękę do środka i już jej stamtąd nie wyjął.

W 2017 roku przedramię Alony Romanenko, która pracowała w maglu, wciągnęła i zmiażdżyła maszyna do prasowania. Lekarze zdecydowali o amputacji.

W 2019 roku media poinformowały o śmierci dwóch Ukraińców w beztlenowej chłodni na owoce w Sadkowicach pod Rawą Mazowiecką. Młodszy miał dwadzieścia osiem lat, starszy – czterdzieści sześć.

Właściciel sadu zeznał w prokuraturze, że dwa dni wcześniej przygarnął ich, bo kiedyś już u niego pracowali. Opowiadał, że nie mieli gdzie się podziąć, bo opuścili poprzedni zakład pracy. Pozwolił Ukraińcom nocować w baraku. Zeznał, że przestrzegali ich, by nie wchodzić do beztlenowej komory. Byli pod wpływem alkoholu, gdy weszli do niej przez okno, prawdopodobnie po to, żeby wziąć kilka jabłek. Obok okna widniał napis po polsku, na żółtym tle, że nie wolno wchodzić. Był też rysunek trupiej czaszki.

– Pod Rawą Mazowiecką zdarza się, że pracownicy lub właściciele sadów wchodzi do beztlenowych komór, żeby w ten sposób popełnić samobójstwo – mówi prokurator

Kamil Bednarek. – W tej sprawie wykluczaliśmy jednak ten scenariusz. Nie dopatrzylismy się też winy osób trzecich. Sprawa została umorzona.

MARINA PETERS prowadzi w Zielonej Górze restaurację Odessa Sea z kuchnią ukraińską. Aż trudno uwierzyć, że to ta sama kobieta, która pięć lat temu przyszła do konsulatu z fioletowymi dłońmi, żeby prosić o pomoc.

– Na Ukrainie pracowałam w magazynie salonu meblowego – opowiada. W Polsce znalazła zatrudnienie w chłodni, przy pakowaniu owoców i warzyw. Zapłaciła pośrednikom dziewięćset dolarów, żeby tu przyjechać – za transport, zorganizowanie noclegu i pracy. W 2015 roku taka kwota była równa pięciu przeciętnym ukraińskim pensjom. Przybyła z koleżanką. W chłodni musiały pracować po trzynaście godzin dziennie bez odpowiednich rękawic. W końcu nie wytrzymały ich dłonie, zsiniały od lodowatej wody. Dokuczały im też bóle pleców. Gdy skarżyły się właścicielowi, nie mogły patrzeć mu w oczy, bo za każde spojrzenie była kara: kilka złotych potrąconych z pensji. W końcu uciekły, najpierw piechotą do najbliższego miasta, a później autobusem do konsulatu w Zielonej Górze. Namiary na placówkę znaleźli krewni z Ukrainy.

– Na początku nie skarżyłam się im przez telefon, bo nie chciałam ich martwić – tłumaczy Marina. – Poza tym przecież miałam zarobić pieniądze i pomóc rodzinie: mamie,

synom, wnukom. Na Ukrainie nie było dla mnie perspektyw.

Koleżanka Mariny wróciła na Ukrainę, do Odessy. Dziś prowadzi tam niewielki hotel. A ona została w Polsce. Ma bułgarskie korzenie, więc postarała się o obywatelstwo, żeby móc pracować bez przeszkód na terenie Unii Europejskiej. W Zielonej Górze została opiekunką starszych osób. Później, nim otworzyła restaurację, prowadziła agencję pomagającą Ukraińcom znaleźć pracę w Polsce. – Nie było lekko – wspomina. – Co miesiąc na jedzenie mogłam przeznaczyć dwieście złotych.

Mówi, że sporo zawdzięcza dobrym ludziom, którzy jej pomogli. Oraz że nawet najlepsze przepisy i sprawnie działająca polityka migracyjna mogą się okazać nieskuteczne w zwalczaniu patologii, jeśli nie zmieni się mentalność ludzi. Ostatnio na ulicy coraz częściej słyszy wyzwiska wykrzykiwane w stronę Ukraińców.

CENTRUM BADANIA OPINII SPOŁECZNEJ od blisko trzydziestu lat analizuje stosunek Polaków do Ukraińców. W latach 90. niechęć wyraźnie górowała nad sympatią. Po pomarańczowej rewolucji proporcje zaczęły się zmieniać. W 2015 roku trzydzieści sześć procent ankietowanych darzyło Ukraińców sympatią, a trzydzieści dwa procent – niechęcią. Jednak w 2019 roku w badaniach CBOS-u sympatię wskazało trzydzieści jeden procent, niechęć – czterdzieści jeden.

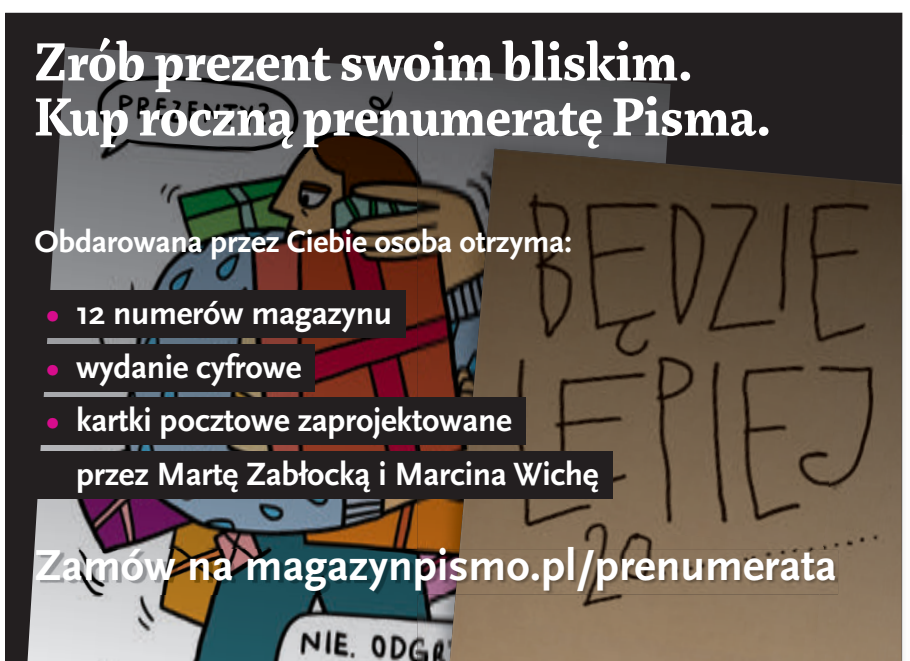
Zrób prezent swoim bliskim. Kup roczną prenumeratę Pisma.

Obdarowana przez Ciebie osoba otrzyma:

- 12 numerów magazynu
- wydanie cyfrowe
- kartki pocztowe zaprojektowane

przez Martę Zabłocką i Marcina Wichę

Zamów na magazynpismo.pl/prenumerata



Z badania przeprowadzonego przez Havas Media Group wynika, że na początku 2019 roku pięćdziesiąt dwa procent Polaków deklaroowało sympatię, a niechęć tylko dwanaście. Opinie badano jednak przez internet, a ankietowanych pytano nie o naród ukraiński – wtedy negatywny wpływ na ocenę mógłby mieć kontekst historyczny, tylko o Ukraińców pracujących w Polsce, w domyśle pomagających rozwijać polską gospodarkę. Tak postawione pytanie miało zapewne wpływ na odsetek pozytywnych odpowiedzi.

Przez kilka ostatnich lat gwałtownie rosła szacunkowa liczba Ukraińców, którzy pracują i mieszkają w Polsce. Badania na ten temat prowadził Narodowy Bank Polski. W 2017 roku pracowało ich około dziewięćset tysięcy. W 2018 roku – 1,2 miliona, z czego co czwarty miał zezwolenie na pracę. Pozostali pracowali na podstawie wiza z związku z oświadczeniami pracodawców.

Składki do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych odprowadzało w zeszłym roku niecałe pół miliona Ukraińców.

Siedemdziesiąt jeden procent Ukraińców pracowało fizycznie, między innymi na budowach i w rolnictwie, a co piąty w usługach (hotelarstwo, fryzjerstwo, gastronomia, opieka nad dziećmi).

Ekonomiści z NBP wyliczyli, że Ukraińcy pracują więcej godzin tygodniowo (często sześćdziesiąt, a nawet osiemdziesiąt) niż Polacy (czterdzieści), ale zarabiają mniej – większość od dwóch i pół do trzech i pół tysiąca złotych na rękę miesięcznie.

Z raportu Personnel Service wynika, że Ukraińców zatrudnia niemal co piąta polska firma. W 2019 roku ponad połowa z nich płaciła ukraińskim pracownikom mniej niż szesnaście złotych na godzinę.

W NOWYM MIASTECZKU w województwie lubuskim od 2015 do 2017 roku pracownicy z Ukrainy, zatrudnieni w firmie produkującej meble ogrodowe, dostawali kartki na żywność zamiast wypłat. Miejscowi wiedzieli. I miesiącami nikt nie interweniował w tej sprawie – ani Polacy pracujący w zakładzie (choćby księgowa, portier czy szef zmiany), ani władze gminy, ani mieszkańcy.

Miejscowi, mijając obskurny budynek, w którym nocowali Ukraińcy, musieli widzieć powybijane szyby. Mieszkała w nim kiedyś starsza kobieta, Zofia. Wyrzucili ją



beprawnie nowi właściciele, gdy przejęli firmę. Przeniosła się do syna, a sprawa trafiła do sądu. – Gdy w budynku zakwaterowano Ukraińców, zajrzałam tam. Warunki były nieludzkie. Ciężko opowiadać.

Zakład widać z piętra domu kultury. Sprzątaczkę, gdy myje okna, do dziś ściska za serce. – Oni tam spali na cienkich materacach, na betonie – mówi. – A nie działało tam przeciw ogrzewanie, nawet w środku zimy.

W mieście stoją dwa kościoły – poewangelicki pod wezwaniem Opatrzności Bożej i parafialny pod wezwaniem św. Marii Magdaleny. Mieszkańcy organizują odpusty ku czci świętej. Maszerują wtedy przez miasto z chorągwiami. Później odbywa się festyn.

Ksiądz Jan Sobolewski (wówczas proboszcz w Nowym Miasteczku, obecnie w Szlichtyngowej) był pełen podziwu dla Ukraińców. – Mimo tak ciężkiej sytuacji i wyznania prawosławnego, przychodzili na wieczorną mszę. Wspierałem ich dobrym słowem.

A Ukraińcy byli głodni. Prosilili mieszkańców o jedzenie.

Niedaleko stoi remiza. Wdowa po kominie Ochotniczej Straży Pożarnej: – Mąż, jak jeszcze żył, to gotował na festyny grochówkę, a to, co zostało, zanosił Ukraińcom.

Sprzedawczynie z piekarni: – Dawaliśmy im bułki za darmo.

Pani Zagałowa mieszka przy bramie zakładu. – Ukraińcy przychodzili po wodę. Nabierali też z tego stawku – pokazuje na brudny, zarośnięty zbiornik przeciwpożarowy.

Ekspedientka z drogerii: – Przed sklepem zawsze mam wystawioną miskę z wodą dla psów i kotów, więc Ukraińcom tym bardziej bym pomogła. Gdybym tylko wiedziała.

Klientka w sklepie: – Mamy z mężem taką zasadę, że zajmujemy się sami sobą. Nie wnikamy w cudzą prywatność.

POLACY ZATRUDNIENI w zakładzie twierdzą, że nie znali tych Ukraińców, że nie utrzymywali z nimi kontaktów. – W społeczeństwie jest strach przed zeznawaniem czegokolwiek – mówi aspirant Marek Drgas, dzielnicowy. – Ludzie wolą powiedzieć „Nie wiem, nie widziałem”, bo boją się stawić w prokuraturze. Nie chcą być świadkami, bo nie chcą być ciągnięci po sądach.

– My, jako urząd miasta, musimy działać w granicach prawa – tłumaczy burmistrzynie Danuta Wojtasik. – Podobnie jak moi urzędnicy, nie mogłam wejść na teren zakładu i przeprowadzić kontroli. Nie mamy prawa ingerować w działalność prywatnej firmy. Takie problemy możemy jedynie zgłaszać do konsulatu, do inspekcji pracy, na policję. I tyle.

Policja i przedstawiciele inspekcji bywali w zakładzie rutynowo. A Ukraińców nadal wykorzystywano. Tak o jednej z interwencji policji opowiadała była pracownica, Swietłana, w redakcji „Tygodnika Regionalna” w Nowej Soli po tym, gdy wyrzucono ją z zakładu: „Upadłam i uszkodziłam kolano. Chciałam zejść z produkcji, ale kierowniczka nie pozwoliła. Powiedziała, że jak zostawię stanowisko, to stracę pracę. Obwiązałam kolano taśmą klejącą i pracowałam dalej. Aż przyszedł portier i kazał się pakować, bo już tu nie pracuję. Kolega zadzwonił wtedy do konsulatu i przyjechała policja. Sprawdzone dokumenty. Policjanci odjechali, bo poinformowano ich, że to nieporozumienie i że zostaje.

Przed północą znów kazali się pakować. Zawieźli mnie na dworzec i tam zostawili. Był mróz, a dworzec zamknięty. Zadzwoiłam na policję i odwieźli mnie do noclegowni”. Kolegę Swietłany, który zadzwonił do konsulatu, wyrzucili następnego dnia.

Właściciele zakładu zatrudniali naganiacza – Ukrainka, który przez internet werbował kolejnych pracowników. Zaraz po przyjeździe do zakładu podpisywali dokumenty, których później więcej już nie widzieli. Podpisywali też umowy-zlecenia z informacją, ile tysięcy drewnianych części do mebli muszą wykonać. Mieli dostawać 1750 złotych brutto miesięcznie. Od listopada 2015 roku dostawali po kilkaset złotych, a później tylko bony do wykorzystania w miejscowym sklepie. Bywało, że musieli przeżyć przez tydzień za równowartość pięćdziesięciu złotych, a nawet mniej.

Wszystkim zatrudnionym nadawano numery.

Mieszkanka Nowego Miasteczka, która pracowała w zakładzie jako sprzątaczką, słyszała, jak właściciele firmy wyrażali się o Ukraińcach. – Mówili, że to nie są ludzie.

„Gdy pracownik z jakichś przyczyn nie szedł do pracy, przychodził portier i mówił, że ma pół godziny i albo wraca do pracy, albo opuszcza zakład” – opowiadała w konsulacie i w prokuraturze Tatiana, która w zakładzie w Nowym Miasteczku pracowała razem z mężem. Wyrzucono ich, gdy upomnieli się o zaległe wypłaty.

—
 W MARCU 2016 ROKU pracownicy zorganizowali strajk. „Prezesi obiecali wtedy, że będą wypłacać zaliczki, żeby uregulować zaległości” – opowiadała jedna z protestujących, Ludmiła. Dostawała do kilku zaliczek miesięcznie, w wysokości od kilkudziesięciu do kilkuset złotych. Pracowała nawet siedemdziesiąt godzin tygodniowo. Wyliczyła, że firma jest jej dłużna prawie dwanaście tysięcy złotych. Gdy upomniała się o pieniądze, oskarżono ją o podburzanie pracowników i zwolniono. „Przyjechali policjanci i okazałam umowę najmu lokalu i umowę o dzieło, a także paszport – wyjaśniała. – Z tych dokumentów wynikało, że mogę zostać przez siedem dni od daty zwolnienia w swoim pokoju. Policjanci przejrzyli dokumenty i stwierdzili, że to się zgodza i że mam prawo przebywać

na terenie zakładu. Gdy odjeżdżali, mówili, że bym dzwoniła na 997 i 112, jakby chcieli mnie wyrzucić. Kiedy odjechali, w biurze spotkali się [Ludmiła wymienia nazwiska prezesów, pracowników administracji, portiera i ukraińskiego kierownika – przyp. M.S.]. Długo rozmawiali. Po spotkaniu przyszli do pokoju i powiedzieli, że w umowie nie jest napisane, jakie pomieszczenie mam zajmować, że mogę mieszkać na przykład na podwórku albo w piwnicy. (...) Zaprowadzili mnie do bunkra na środku podwórka i powiedzieli, że to mój pokój”.

Ostatnią noc spędziła na ławce. Następnego dnia krzyczącą Ludmiłę wyrzucono z bagażem za bramę, bo kolejny raz zażądała zaległych wypłat. Wielu tak traktowano. – Widzieliśmy Ukraińców, jak spali na przystankach – mówią mieszkańcy Zimnej Brzeźnicy, wsi w sąsiedniej gminie Niegosławice, którzy dojeżdżają do Nowego Miasteczka do pracy i na zakupy.

Stefania Jawornicka, dyrektorka biura Konsulatu Honorowego Ukrainy w Zielonej Górze, próbowała interweniować. – Dzwoniłam do inspekcji pracy, ale to nic nie dawało.

Kontroli było kilka. Luty i marzec 2015 roku – ujawniono między innymi nieterminowe zgłoszenie do ubezpieczeń społecznych części pracowników, nieopłacenie przez pracodawcę składek na Fundusz Pracy i zaległości w wypłacaniu pensji. Maj i czerwiec 2015 roku – ujawniono nieopłacenie przez pracodawcę składek na Fundusz Pracy. Marzec i kwiecień 2016 roku – wykryto kolejne nieprawidłowości przy wypłacaniu pensji. Kontrole kończyły się wnioskami kierowanymi do sądu, grzywnami, mandatami i upomnieniami. A pracownikom zakładu nadal działa się krzywdą.

Mieszkanka Nowego Miasteczka, która pracowała w przedsiębiorstwie jako sprzątaczką, tak wspomina kontrole: – Właściciele często wiedzieli, że przyjedzie ktoś z inspekcji. Wtedy kazali Ukraińcom opuścić stanowiska pracy. Zastępowali ich zatrudnionymi Polakami, których wzywali do zakładu.

Dużą kontrolę, z udziałem inspekcji pracy, Straży Granicznej i policji, wszczęto w czerwcu 2016 roku po tym, jak o nieprawidłowościach poinformowało Biuro Wojewody w Zielonej Górze. Dotyczyły między innymi niewypłacenia pieniędzy dziewięćdziesięciu trzem cudzoziemcom za okres

**CZY WIESZ, KIEDY
 POWSTAŁA PIERWSZA
 JAZZOWA ORKIESTRA
 W POLSCE?**

**ILU POLAKÓW
 OTRZYMAŁO
 STATUETKĘ OSCARA?**

**KIEDY ZOSTAŁ
 NAKRĘCONY
 PIERWSZY POLSKI
 FILM DŹWIĘKOWY?**



**Quizowa gra
 planszowa
 sklep.nck.pl**

Sfinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022

niepodległa

Ministerstwo
 Kultury
 i Dziedzictwa
 Narodowego

od stycznia do czerwca 2016 roku na łączną kwotę ponad stu czterdziestu tysięcy złotych, maszyn, które nie spełniały choćby minimalnych wymogów bezpieczeństwa, a także nieodprowadzania składek na Fundusz Pracy. Powiadomiono wiele instytucji: Powiatowy Urząd Pracy w Nowej Soli, Sąd Rejonowy w Nowej Soli, wojewodę lubuskiego, ZUS, Departament Funduszy w Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, straż pożarną oraz nadzór budowlany. Nikt jednak nie zamknął zakładu, a kolejni pracownicy byli w nim wykorzystywani jeszcze przez kilka miesięcy.

PRZEZ FIRMĘ w Nowym Miasteczku przewinęło się przynajmniej kilkudziesięciu Ukraińców. Do konsulatu w Zielonej Górze wniosło skargi ponad trzydziestu z nich. W czerwcu 2016 roku policja wszczęła dochodzenie, które następnie przejęła Prokuratura Rejonowa w Nowej Soli. W 2017 roku sprawę prokuraturze zgłosiła inspekcja pracy. Większość pokrzywdzonych do tego czasu zdążyła wyjechać. Zeznania złożyło tylko kilka osób.

Burmistrzynie Wojtasik: – Też zgłosiliśmy tę firmę do prokuratury, bo właściciele nie zapłacili gminie ani złotówki podatku. Korzystali z pomocy profesjonalnych doradców. Przekształcali się z jednej spółki w drugą.

Po zgłoszeniu sprawy prokuraturze Wojtasik była zastraszana. Jawornicka z konsulatu w Zielonej Górze odbierała telefony z groźbami. – Tym Ukraińcom, którzy mieli jeszcze ważną kartę pobytu i zwrócili się do nas, pomogliśmy znaleźć nową pracę, żeby odcieli się od tamtego koszmaru – wspomina.

Właściciele sprzedali firmę. Prokuratura oskarżyła ich o naruszanie praw pracowników od listopada 2015 do września 2016 roku. Pokrzywdzeni Ukraińcy zdarzali się jeszcze w roku 2017. Akt oskarżenia dotyczy przede wszystkim niewypłacania pensji, przez co pracownicy nie byli w stanie zabezpieczyć podstawowych potrzeb życiowych ani nie mogli odejść, bo nie mieli pieniędzy na podróż. Niektórzy zostawali, bo wierzyli, że odzyskają zarobione pieniądze. Prokurator wskazał w akcie oskarżenia, że właściciele działali z premedytacją. Gdy wyrzucali jednych Ukraińców, to zatrudniali kolejnych i traktowali ich tak samo.

W grudniu 2017 roku w Sądzie Rejonowym w Nowej Soli zapadł wyrok nakazowy. Sędzia uznał, że „okoliczności czynu i wina oskarżonych nie budzą wątpliwości”. Nakazał właścicielom wypłacić zaległe pensje dziewięciu pracownikom, w sumie ponad siedemdziesiąt jeden tysięcy złotych. Skazano ich też na rok ograniczenia wolności. Mieli pracować na cele społeczne przez trzydzieści godzin miesięcznie. Odwołali się od decyzji sądu, wyrok został anulowany, sprawa nadal jest w toku.

SPRAWA OKSANY CHARCZENKO, której po wyroku nie udzielono pomocy, trafiła do sądu w Środzie Wielkopolskiej. Pracodawca dogadał się z pokrzywdzoną w kwestii zadośćuczynienia, a sąd warunkowo umorzył sprawę. Po apelacji prokuratury, w czerwcu 2019 roku, Sąd Okręgowy w Poznaniu zawrócił ją do ponownego rozpatrzenia ze względu na dużą społeczną szkodliwość czynu. 13 stycznia tego roku Witold Horowski, były konsul honorowy Ukrainy w Wielkopolsce, poinformował, że Oksana Charczenko zmarła.

Właściciel pralni, w której Alona Romanenko straciła w maglu rękę, nie poczuwa się do winy. Prokuratura oskarżyła go o narażenie pracownicy na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, a także o spowodowanie trwałego kalectwa. Sprawa trafiła do sądu. Nadal jest w toku.

W maju 2019 roku zapadł wyrok w sprawie Dmytry Shutaka. Pracodawca dostał karę półtora roku więzienia. Wcześniej sąd przyznał chłopakowi odszkodowanie w wysokości 235 tysięcy złotych.

Na wyrok wciąż czeka Grażyna F., która nie wezwała pomocy do umierającego Wasyla Czorneja. 21 października 2019 roku usłyszała zarzut nieumyślnego doprowadzenia do śmierci.

– Inna kwalifikacja czynu nie była w tej sprawie możliwa – komentuje Michał Smętkowski, szef Prokuratury Okręgowej w Poznaniu. – Wina nieumyślna polega na tym, że osoba przewiduje skutki w postaci śmierci, ale nie chce, żeby ktoś umarł. Owszem, nie pomaga umierającemu, ale nie podejmuje też żadnych działań prowadzących do jego zgonu.

Grażynie F. za nieudzielenie pomocy umierającemu człowiekowi grozi pięć lat więzienia. Siergiejowi za pomoc w zacieraniu śladów – również. Jego wyrok może jednak zostać nadzwyczajnie złagodzony, jeśli został zaszantażowany przez szefową. Pozostali pracownicy, którzy przebywali wtedy w zakładzie, nie usłyszeli zarzutów. – Mogli nie zdawać sobie sprawy, w jakim stanie jest ich współpracownik – wyjaśnia Smętkowski. Na ich korzyść w opinii prokuratury przemawiają też okoliczności: obcy kraj, niezajomość języka, praca na czarno, a w konsekwencji obawa przed deportacją.

ZATRUDNIONYM W POLSCE Ukraińcom nie pomogą najlepsze przepisy, jeśli nie zmieni się postawa polityków i mentalność pracodawców.

Mówią oni o Ukraińcach, że to motory do napędzania gospodarki. Że to najlepsi migranci, bo są z naszego kręgu kulturowego. Widzą w nich ręce do pracy. Widzą budowlańców, sprzątaczkę, opiekunki do dzieci, pracowników sadów z jabłkami, pól i zakładów za murem. Widzą słupki wzrostów i spadków, wykresy, sondaże, prognozy, liczby, pieniądze, biznes. A zdają się nie dostrzegać w nich ludzi, którzy chcieliby osiedlić się w Polsce na stałe.

Ukraińcy pozwalają działać na wysokich obrotach co piątej polskiej firmie. Gdy tracą godność, zdrowie, a nawet życie, podlegają wymianie.

Ekonomiści Narodowego Banku Polskiego szacują, że po otwarciu niemieckiego rynku na pracowników spoza Unii Europejskiej w 2020 roku co czwarty Ukrainiec wyjedzie z Polski na zachód.

BYŁO KILKA DNI SZOKU – przyznaje sołtys Krzeszowski. – Ale ludzie wrócili do rzeczywistości i życie toczy się dalej.

– Ja nawet nie wiem, jak komu tam było na imię – mówi miejscowa pracownica zakładu. – Nie przykładalam do tego wagi. Nie raz może i o tym myślę, ale niech każdy odpowiada za swoje grzechy.

Firma funkcjonuje. Przywożą deski. Wywożą trumny.

Imiona bohaterów zostały zmienione.